

Dzień dobry. Nazywam się Maciej Kraszewski, a to jest Dziebra Graniście. Podkast o wydarzeniach na świecie, o których w polskich mediach słuchać niewiele, albo wcale.

Wysłuchasz to rozmów z ekspertami od Ameryki Łacińskiej, Afryki, Azji, Oceanii, a także mniej znanych tematów europejskich, a od czasu do czasu także odcinka solowego, w którym samodzielnie przybliżą Ci jakąś historię.

Jeżeli interesują Cię podejmowane tu tematy, to możesz wesprzeć moją działalność, dobrowolną wpłatą w serwisie Patronite pod adresem patronite.pl, łamany przez Cię Zagraniczny.

Partnerem dzisiejszego odcinka jest blik, oferujący usługę przelew na telefon, czyli prosty, szybki i bezpieczny sposób na dokonywanie przelewów.

Dociera w kilkanaście sekund, działa niezależnie od dnia czy godziny i jest darmowy dla klientów indywidualnych.

A żeby z niego skorzystać, wystarczy zarejestrować swój numer telefonu w usłudze przelew na telefon blik w swojej aplikacji bankowej.

Potem wystarczy już tylko wpisywać lub wybierać numer innej osoby, żeby przelewać jej złotówki.

I ja propozłódówek. Właściwie złota, bo mam na myśli prawdziwą, sztapkę złota.

Można ją zdobyć w olimpiadzie blika. Nie trzeba się nawet pocić, bo jedyna dyscyplina to gimnastyka palców.

Wystarczy zarejestrować się w blikomanii, czyli właśnie loterii blika i rozliczać się lub płacić, kiedy chcesz.

W przeciwieństwie do prawdziwych igrzysk olimpijskich, tu każdy coś wygrywa. Za samą tylko rejestracją dostaniesz na maila Kot z Legimi,

uprawniający cię do wyboru jednego i buka z puli dwudziestu w różnych kategoriach tematycznych i wiekowych.

Link do szczegółów loterii znajdziesz w opisie odcinka, więc zachęcam do płacenia blikiem, stylu dowolnym i być może do sięgnięcia po złoto.

Rap dla radykałów.

Tysiące młodych tunezyjczyków wyjechało walczyć w szeregach państwa islamskiego.

Wbrew pozorom, w większości nie pchnęła ich jednak do tego religia.

Autorkę reportażu Dalia Mikulska czyta Kamila Kalinczak.

Z wyglądu żaden z niego bojownik, szczupła twarz, czapka z daszkiem i okulary jakby za duże.

Rapuje o dragach i imprezach, a na teledysku pokazuje w stronę kamery środkowy palec.

To Emino Don Camileon.

W dokumentach wpisano Mauran de Wili, urodzony w 1990 roku w Manubie, niedaleko Tunisu.

Król tunezyjskiego rapu, legenda, tak piszą o nim internauci, dodają też niech Alnach wybaczy mu grzechy.

Choć trudno powiedzieć, o które grzechy chodzi, dragi i dziewczyny, czy może raczej to, co było później.

Dwiili zaczął muzykować już jako małolat, inspirowali go Tupaki Snoop Dogg.

Debiutanski album Don Camileon wydał rok po skończeniu pełnoletności.

Rapował w tunezyjskim dialekcie, czasem tylko wplatał angielskie słowa, takie jak Nigga Beach czy Motherfucker.

Na teledyskach wdzięczyły się do niego dziewczyny w kusych spudniczkach.

Mieszkał wtedy w kawalercy w Tunisie, palił jointy i pił alkohol, choć według Islamu jest to haram, czyli zakazane.

Żył tak, jakby jutra miało nie być, aż do marca 2012 roku, kiedy razem z dwoma innymi raperami policja złapała go za posiadanie Zatli, jak tunezyjczycy nazywają haszysz.

Zakratki trafił miłośnik nieskrępowanej zabawy,

a po ponad ośmiu miesiącach więzienne mury opuszczał już zupełnie ktoś inny.

Lina Ben Manny, tunezyjska blogerka i aktywistka, korespondowała z nim jeszcze zanim poszedł siedzieć.

Kobieta opowiadała potem dziennikarzom serwisu informacyjnego Middle East Eye o przemianie, która zaszła w nim podczas odsiadki.

Zaczął wysyłać mi wiadomości krytykujące ubrania, które nosiłam i mówił, że zachowuje się nieodpowiednio.

Musiałam go potem zablokować.

Na późniejszym procesie, za znieważenie policji, Emino krzychał, mam dość tego kraju, zostawiamy go wam.

Dlaczego tak utrudniacie życie młodzieży?

Po czym wyjechał na wakacje do Turcji, gdzie porzucił rap i zaczął się modlić?

Nie chciał słyszeć o apelacji od wyroku, sprawy przyziemne przestały go obchodzić.

18 marca 2015 roku jego przyjaciele i fani zobaczyli na Facebooku zdjęcie Maurana już nie w Bejzbolówce, ale ze zwisającą mu luźno z ramion czerwona kefiją, czyli chustą w Polsce nazywaną często arafatką.

Fotografie wykonano w rakce, a w tle można było zobaczyć flagę tak zwanego państwa islamskiego. W nieformalnej stolicy samozwańczego kalifatu Emino ogłosił wierność jego przywódcy, Abu Bakrowi al-Baghdadiemu. Z teledysków pełnych skompo ubranych dziewczyn i haszyżowego dymu,

dawny raper przeniósł się do świata, w którym ciała kobiet zakryte były od stóp do głów, a zapalenie papierosów groziła kara chłosty.

Zszokowani i fani mogli go jeszcze zobaczyć w propagandowym nagraniu państwa islamskiego, które miało na celu zniechęcić uchodźców do opuszczenia Syrii czy Iraku.

Ibrany w maskujące barwy, głowę owinął oliwkową kefiją, miał wzrok człowieka, który wszystko już stracił.

Trzy miesiące po jego wyjeździe państwo islamskie przeprowadziło w jego ojczyźnie zamach na ośrodek turystyczny w susie.

Największy taki atak w historii kraju, w którym zabili 39 osób i ranili kolejnych 36.

Gdy jeden z odpowiadających za niego terrorystów został zastrzelony przez policję, były raper, gratulował mu na Twitterze zostania męczennikiem.

Rok później, inni jihadeści pisali tak samo o nim, gdy zginął podczas walk w irackim Mosulu.

Emino to najsłynniejszy tunezyjski bojownik w szeregach tej organizacji, ale zdecydowanie niejedyny,

choć nie do końca wiadomo ilu jego rodaków zdecydowało się na podobny krok.

Według szacunków ministerstwa spraw wewnętrznych do Syrii i Iraku wyjechało ich walczyć 3 tysiące, a do Libii dodatkowe półtora tysiąca.

Zdaniem ONZowskiego Wysokiego Komisarza do spraw praw człowieka było ich 4 tysiące.

Z kolei eksperci z Sufangrub, instytucji doradczej, w której skład wchodziły byli oficerowie służby wywiadowczych, jeszcze w 2015 roku szacowali liczbę

rodzinych bojowników w szeregach państwa islamskiego i innych grup zbrojnych na 6 tysięcy. Te ostatnie dane oznaczałyby, że z wszystkich krajów arabskich Tunezja jest największą eksporterką jihadistów per kapita.

Dekady temu była pierwszym klockiem w arabskiej wiosnie, która przetoczyła się przez te państwa. Tunezjczycy obalili swojego wieloletniego dyktatora benalego w styczniu 2011 roku, a już miesiąc później tymczasowe władze udzieliły amnesty wszystkim więźniom politycznym wtrąconym zakraty przez poprzedni reżim.

Wśród wypuszczonych na wolność trzech tysięcy osób nie wszyscy zawinili jednak wyłącznie nieprawomyślną opinią.

Cele opuścili np. członkowie salafickiej grupy do sprawka znoziejstwa i walki, skazani za posiadanie granatów i udział w zbrojnym buntzie, w trakcie którego zginęli funkcjonariusze.

Na wolności znalazło się też wielu kombatantów wojen w Afganistanie, Iraku, Yemenie, Somalii oraz Algierii,

w tym Sejfalla bin Hassin, który pod pseudonimem Abu-iyat al-Tunsi, czyli ojciec i jada tunezjczyk, walczył u boku u samy bin Ladena i był odpowiedzialny za werbowanie rodaków w szeregi Al-Qaeda. Po wypuszczeniu z więzienia w 2011 roku założył Ansar al-Sharia, grupę której głównym celem było zachęcanie młodych do udziału w zbrojnym jihadzie.

W tym czasie w tysiącach meczetów przejętych przez radykałów, którzy wyrzucili z nich zbyt liberalnych ich zdaniem i mamów,

skazalnic nawoływano do pomocy syryjskim braciom w wierze.

Podobne głosy padały ze strony nowych władz.

Pierwsze demokratyczne wybory wygrała islamistyczna partia Ennachda, która choć umiarkowana to ministrem religii,

mianowała Nurreddina El-Hademiego nazwanego im mamem jihadu za przemowy wygłaszane w meczecie uczęszczanym przez salafitów.

Do konstytuandy wysunęła człowieka otwarcie opowiadającego, że gdyby był młody, to sam wyjechał by walczyć za granicę.

Ten drugi został we wrześniu 2022 roku aresztowany przez jednostkę antyterrorystyczną.

Prokuratura zarzuca mu pomaganie tunazejczykom w zaciąganiu się do fundamentalistycznych grup zbrojnych.

Po upadku starego reżimu w służbach mundurowych zapanował chaos, więc w całym kraju swobodnie działały liczne organizacje dobroczynne,

których prawdziwym celem była rekrutacja i organizowanie wyjazdów do Syrii, Libii czy Iraku.

W górach Atlas na granicy z Algierią organizowano treningi dla jihadistów,

a ówczesny Rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oznajmił, że to tylko młodzi ludzie, którzy uprawiają sport,

nie ma powodu do obaw.

Opowiada Moes Ali, stojący na czele Util, czyli unii niezależnych tunazejczyków na rzecz wolności, organizacji zajmującej się przeciwdziałaniem ekstremizmowi.

W 2013 roku grupa 48 tunazejskich dzieciaków została aresztowana przez syryjskie służby, gdy próbowali nielegalnie przekroczyć granice.

Mówię o nich dzieciaki, bo najmłodszy miał raptem 17 lat.

Tylko jeden był terrorystą, brał udział w walkach z policją przed laty.

Resztę zrekrutowano manipulacją i argumentami humanitarnymi.
Syryjski reżim gwałci kobiety i zabija dzieci, musicie jechać pomagać naszym braciom i siostram.
Wyjaśnia Ali.
Rząd nie reagował w ich sprawie, więc Util samo ruszyło do akcji.
Jego działacze wyjechali do damaszku z matkami aresztowanych, negocjowali z przedstawicielami ministerstw spraw zagranicznych i sprawiedliwości Syrii.
W końcu rząd Baszara Elasada zgodził się na to, by odsiedywali kary w Ojczyźnie pod warunkiem ujawnienia wszystkich informacji o osobach, które zorganizowały ich wyjazd.
To mogłoby nam pomóc rozpracować komórkę terrorystyczną,
ale ze względów politycznych na układ nie zgodził się rząd tunezji, wspomina Ali.
Dwóch z tych chłopaków z powodu chorób i złych warunków zmarło w syryjskim więzieniu.
Reszta siedzi tam do dziś.
Sidi Buzid leży dokładnie w połowie drogi, choć tylko na mapie.
W góry Atlas, gdzie organizowano szkolenia dla jihadistów, jedzie się teoretycznie tyle samo czasu, co na wybrzeże.
Jedyny region tunezji, w który inwestowały wszystkie dotychczasowe rządy, ale w praktyce ten drugi kierunek wydaje się dużo odleglejszy.
To właśnie tam, w grudniu 2010 roku, podpalił się Mohamed Bouazizi, zapoczątkowując tym samym arabską wiosnę.
26-latek pochodził z biednej rodziny, w dodatku był w połowie sierotą i po śmierci ojca musiał utrzymywać bliskich.
Jeśli więc w ciągu dnia udało mu się zarobić 20 dinarów, 15 oddawał matce, a 5 zostawiał sobie na wieczorne spotkania z kolegami w kawiarni.
Nie dawał rady nic zaoszczędzić i nie mógł sobie pozwolić na nadzieję lepszej przyszłości.
Na życie targnął się po tym, jak policja zarekwirowała wózek, z którego sprzedawał warzywa.
Bouazizi nie był ani pierwszym, ani ostatnim tunezjczykiem, który podpalił się w akcie dysperacji.
Grupa tunezyjskich naukowców policzyła 235 takich samobójstw, tylko w okresie od 2005 do 2014 roku, a więc zarówno przed, jak i po obaleniu ben alego.
Jednak to dopiero po rewolucji liczba tunezjczyków dokonujących samospalenia się potroiła.
Badacze studiujący to zjawisko tłumaczą je rozczarowaniem obywateli, że demokratyczne przemiany nie przyniosły oczekiwanego przez nich dobrobytu.
Lata mijały, do władzy dochodziły kolejne rządy, na ekranach telewizorów polityce się kłócili, a biedni pozostawali biednymi.
Wcześniej żyliśmy w przekonaniu, że i tak nic od nas nie zależy.
To było błogosławieństwo ignorancji.
A później daliśmy się omamić poczuciem, że mamy na coś wpływ.
I się zawiedliśmy, stwierdza dwudziestokilkuletni kajf, zaciągając się skrętem na tarasie kawiarni w Zbejtli.
To jakieś pół godziny drogi od Sidi Buzid, 24 tysięczne, spokojne wręcz senne miasteczko.
Choć można tam podziwiać bizentyjskie ruiny, to miejsce rzadko odwiedzają turyści.
Jedną rozrywką dla młodych jest przesiadywanie godzinami w kawiarniach.
Albo właśnie palenie haszyszu.
Ciężko jest osiągnąć niezależność finansową.
Większość z nas nie poradzi sobie bez wsparcia rodziców, przekonuje kajf.

Choć sam jest synem lekarzy, którym powodzi się relatywnie dobrze.

W pierwszej pracy po studiach można dostać jakieś 500 dinarów miesięcznie.

Po tylu latach edukacji.

Wystarczy może na wynajęcie pokoju, ale żeby przeżyć samodzielnie potrzeba jeszcze przynajmniej dwa razy tyle.

Jego słowa potwierdzają statystyki.

W drugiej połowie 2020 roku bezrobocie w skali kraju wynosiło nieco ponad 16%,

a wśród absolwentów uczelni wyższych wskaźnik ten był prawie dwa razy wyższy.

Wielu znajomych przychodziło do mnie po kasech, chcieli, żebym zasponsorował im wyjazd.

W tradycji muzułmańskiej, kiedy ludzie wyjeżdżają na wojnę w słusznej sprawie,

a ktoś da im pieniądze, to traktuje się to tak jakby on sam walczył.

Jego też czeka nagroda, opowiada kajf.

Ale pomogłem tylko jednemu, bo był moim bliskim przyjacielem.

Nie dużo mu dałem, jakieś 10 dinarów.

Za tyle nie mógłby nawet wziąć taksówki na lotnisko, ośmieję się chłopak.

Mimo to i tak wyjechał.

I zginął, jak wielu znajomych ze Zbejtli.

Wielu młodych zmieść takich jak Zbejtla, Sidi Bouzit czy innych miasteczek tunezyjskiego interioru marzy głównie o tym wyjechać.

Z miasta, z regionu, a może i z kraju.

Byle uciec przed losem własnych rodziców.

Ghajf twierdzi, że to z tego powodu tak wielu 20 latków emigrowało, by dołączyć do państwa islamskiego.

Nie mieli nic, byli zmęczeni życiem i chcieli umrzeć.

Ale nie tak po prostu, tylko za ważną sprawę.

I byli przekonani, że ją znaleźli, uważa chłopak.

Niektórzy pojechali tam też dla przygody, dla łatwego seksu, żeby się wzbogacić i część z tego, co im obiecano dostali.

Oglądaliśmy później na YouTube wiele filmików pokazujących ich królewskie życie w domach z basenem w okolicy Rakki, gdzie grali w billard i cieszyli się życiem.

Ghajf znał wielu, którzy zanim dołączyli do radykalnych ugrupowań, pili imrali narkotyki, a niektórzy też kradli, choć to wszystko jest przecież haram.

Uważa więc, że nie jeden z jego kolegów, którzy wyjechali na Jihad, wcale nie zeszło na złą drogę.

Oni już na złej drodze byli.

Chłopak opisuje to, co Olivier Roua, francuski profesor nauk politycznych i autor książki Jihad i Śmierć, nazywa islamizacją radykalizmu.

Badacz przekonuje, że w przypadku wielu późniejszych członków grup terrorystycznych najpierw pojawiło się zaostrenie w myśleniu,

a dopiero potem religijny fundamentalizm i wizja bram nieba, która nadawała sens życia i śmierci.

Ghajf rozumie intencje tych, których przekonały argumenty o pomocy braciom i siostram w Syrii.

Islam wymaga od nas, byśmy pomagali swojemu sąsiadowi w potrzebie. Myślę, że mamy jakieś zobowiązania wobec cierpiących, w szczególności, jeśli wyznają tę samą wiarę.

Zresztą, nie tylko, ale wtedy w Syrii zamyśla się. To było znacznie bardziej skomplikowane, bo przecież wielu z tych ludzi pojechało tam wcale nie pomagać, a walczyć i zabijać.

To, że ktoś nazwał siebie kalifem, przywódcą wszystkich wierzących, niczego tu nie zmienia. I dodaję, nawet nie przyszło mi do głowy wyjeżdżać, bo życie jest lepsze od śmierci.

Szczególnie śmierci w imię niesłusznej sprawy, bo dla mnie aizys to nie są muzułmanie, to zwykli zbrodniarze.

Ghajf wspomina, jak tuż po rewolucji młodzi tunezejczycy stawali się coraz bardziej religijni.

On także zaczął wtedy regularnie przychodzić na modlitwę w meczecie i spotykał tam mężczyzn, którzy ciepło przywitali go w swoim gronie.

Zaczął więc snosić się tak jak oni, zapuścił brodę i chodził w tradycyjnym muzułmańskim stroju. Teraz ubieram się tak tylko na modlitwę.

Kiedy nosiłem brodę, policja zatrzymywała mnie nawet kilka razy dziennie przekonując.

Habib Burgiba, pierwszy prezydent po uzyskaniu niepodległości w 1956 roku, miał wizję nowoczesnego i świeckiego państwa.

Namawiał obywatelki do zdjęcia hijabu, który nazywał paskudną szmatą,

a obywateli do tego, by zamiast pościć podczas Ramadanu, prowadzili ekonomiczny jihad, czyli pracowali.

Tunezejki dostały dostęp do antykoncepcji i aborcji, zanim doczekały się tego francuski.

Zarówno on, jak i jego następcy, Ben Ali, bali się, że islamiści pozbawią ich władze, więc zamykali ich w więzieniach.

Rządy enachydy to jedyny czas w historii Tunezi, gdybycie religijnym, było dobrze widziane.

Ale z powodu licznych zamachów i wstępowania młodzieży wszeregi państwa islamskiego, skończyło się to bezpowrotnie.

W dzisiejszej Tunezi nie trzeba wcale wracać z Syrii, by mieć założoną przez służby teczkę.

Można za nazwisko, podobne do jakiegoś dżichadysty, albo zakuzyna salafitę, nawet jeżeli samemu uważa się głoszone przez niego hasła za brednie.

Lub jeżeli jest się kobietą noszącą zakrywający twarz nikap.

Czy nawet za często zdaniem funkcjonariuszy podróżowanie do takich miejsc, jak Istanbul.

Od kilku lat oferujemy pomoc psychologiczną, prawną, medyczną i socjalną licznym osobom objętym środkami kontroli.

Żaden z naszych beneficjentów nie jest radykałem czy terrorystą.

Uważa Gabriel Reiter, szefowa tuniskiego Biura Światowej Organizacji Przeciwko Torturom.

Ci ludzie doświadczają wszystkiego.

Od nachodzenia przez policję w środku nocy, do gruśb i przekonywania właścicieli mieszkań oraz pracodawców do wyrzucenia rzekomego terrorysty.

Znalezienie nowego lokum czy zarobku nie jest łatwe.

To prześladowania, które dotyczą przebywających na wolności.

Jeżeli ktoś w końcu trafia za kraty, to może się spodziewać gorszego traktowania.

To inny świat. Mówi Husem Rabchi z Duńskiego Instytutu Przeciwko Torturom,

które szkoli tunezyjskie służby w humanitarnym traktowaniu osadzonych.

Jego zdaniem, choć od obalenia dyktatury minęła ponad dekada, to wypracowane wtedy metody nie łatwo wykorzeńić.

Spotkałem wiele osób, które do niedawna były pokojowo nastawione,

ale po tym, czego doświadczyły ze strony funkcjonariuszy, uznały państwo za swojego największego wroga.

Młodzi tunezyjczycy szczególnie często łądują za kratkami z powodu zatli, czyli haszyżu.

W 2015 roku Human Rights Watch wyliczyło, że aż 28% całej więziennej populacji odbywało wyroki właśnie za przestępstwa narkotykowe.

W tym przypadku często oznaczające po prostu zwykłą konsumpcję.

Choć w CDBuzid, z Baitley, czy na przedmieściach tunisu haszyż można kupić łatwiej niż alkohol i trudno znaleźć 20 kilku lat, który nie pali, to przepisy wywożące się jeszcze z czasów ben alego są wyjątkowo surowe.

Osobie złapanej na posiadaniu nielegalnych substancji grozi grzywna do 3000 dinarów, czyli kilkukrotność miesięcznej pensji młodego tunezyjczyka oraz od roku do pięciu lat więzienia, nawet w sytuacji, gdy oskarżonego złapano tylko z jednym jointem.

Sędzia nie ma możliwości zmiany kary pozbawienia wolności na chociażby pracę społeczną.

Przyłapany po raz drugi włazuje w więzieniu na minimum kolejnych pięć lat.

Młody człowiek, który trafia do więzienia za posiadanie haszyżu, znajdzie się w towarzystwie prawdziwych kryminalistów, gangsterzy, terroryści.

Od tej pory właśnie takie środowisko będzie na niego wpływać, przekonuje raphi.

Pod koniec 2018 roku dyrekcja generalna do spraw więziennictwa i resocjalizacji podawała, że 10% osadzonych w tunezyjskich zakładach karnych

zostało skazanych za uczestnictwo w zamachu lub członkostwo w organizacji terrorystycznej.

Czasem są oddzieleni od reszty więziennej populacji, zwykle jednak nie.

Choć zakratami jest miejsc dla 17,5 tysiąca osób, to przebywa w nich aż o 5 tysięcy więcej.

Cele są więc przepełnione.

Wspomniana wcześniej aktywistka, Lina Binmeni, postanowiła zorganizować akcję wysyłki książek do więzień.

Kobieta opowiadała dziennikarza Middle East Eye,

jak podczas odwiedzin w zakładach karnych zauważyła, że jedyne książki, które mają do wyboru osadzeni,

to dzieła religijnych fundamentalistów.

Żadnej literatury, filozofii czy reportażu podkreśla.

Zdaniem Ghaziego Mrabata, adwokata Emino,

złapany na paleniu haszyszu muzyk radykalizował się właśnie podczas 8-miesięcznej odsiadki.

Dzisiejsi 20 kilku latkowie są za młodzi, by dobrze pamiętać rewolucję.

Dla nich symbolem nie jest wcale Mohammed Buazizi,

który dokonał samospalenia tylko właśnie raper, który wyjechał na świętą wojnę.

Tak jak oni, był wkurzony na swój kraj.

Tak jak oni jarał za tle.

I tak jak ich, jego też spotkały za to represje.

Pod jednym z jego utworów na YouTube'ie ktoś komentuje.

Umarłeś bohaterem i zawsze nim będziesz.

Dzięki takiemu finansowaniu produkują nie tylko ten podcast.

Dział Zagraniczny to różnorodne informacje o wydarzeniach w Ameryce Łacińskiej,

Afryce, Azji, Ars Oceanii, które publikują na mojej stronie internetowej

DziałZagraniczny.pl, a także na Instagramie, Facebooku czy YouTube.

W każdym z tych serwisów znajdziesz mnie wpisując w wyszukiwarce Dział Zagraniczny.

Do usłyszenia!